

Witkacy na miękko

Nowa interpretacja Szewców Witkacego w Teatrze Nowym w Łodzi w reżyserii Jerzego Stuhra płynie spokojnym rozlewiskiem politycznej rzeki. Pobrzmiewa w niej ciche echo społecznych napięć i rewolucyjnego ferworu, a także odrobina buntowniczej grozy. Przechodzimy tu od wodewilowych piosenek inscenizowanych na lata dwudzieste do disco polo. Prokurator Scurvy łąsi się jak pies, który nie ma zamiaru ugryźć, a Irina skrywa swoją erotyczną dominację za efemeryczną, wiotką i zdystansowaną delikatnością. Trudno w tej inscenizacji dostrzec strach i drżenie, które przynoszą ze sobą historyczne i polityczne rewolucje, trudno zrozumieć, dlaczego z ich powodu autor dramatu odebrał sobie życie.

Przedstawienie w reżyserii Stuhra ogląda się gładko i przyjemnie. Mocno okrojony tekst, zgodnie z wielokrotnie powtarzaniem na początku zawołaniem jednego z szewców, który wykrzykuje „nie będziemy gadać niepotrzebnych rzeczy”, sprawia wrażenie skompresowanej repetycji z historii politycznego przewrotu. Kiedy na końcu padają z offu słowa Witkacego nagrane przez reżysera, który podkreśla, że zakończenie przedstawienia po trzecim akcie wymaga odwagi, widzowie mogą z satysfakcją skonstatować, że obejrżeli właśnie esencję Witkacowskiej opowieści. Jest ona rzemieślniczo sprawna, odbiorczo przyjazna i ani widzowi, ani Witkacowi krzywdy nie robi.

Dość silnie i dobitnie, a zatem bardzo współcześnie, wybrzmiewają w tym przedstawieniu konteksty polityczne. Szczególnie dywagacje szewców o tym, czy aby ich nagłe wyniesienie do rangi wiodącej siły nie jest ułudą i iluzją, czy nie przeminie, a ostatecznie czy nie jest raczej ich przekleństwem. Monologi Scurvy'ego o władzy i demokracji, która przynależy raczej „drobnomieszczańskim republikom” współbrzmia z jego utyskiwaniem na fakt, iż jest „cały z gumy, którą na coś niewiadomego naciągają”.

Ze spokojnego, można nawet powiedzieć melancholijnego ujęcia dramatu Witkacego, z jego skrótowych, lapidarnych kadrów, wyłania się obraz nietrwałości władzy i niedojrzałości tych, którzy ją sprawują. Konfrontacja między szewcami, w nowej odsłonie klasy uprzywilejowanej, mającej się za postępową i nowoczesną, z komicznymi pogrobowcami tradycji Wyspiańskiego zostaje u Stuhra rozegrana delikatnie, bez prowokacyjnej doraźności. Stary Kmieć i młody Kmiotek, chochoł, a także Dziwka, występują zgodnie z Witkacowskimi didaskaliami w strojach krakowskich, odrealniając de facto potencjalną krytykę reprezentowanej przez te postaci opcji narodowo-patriotycznej. Podobnie uteatralnione, a zatem nieco przygaszone są wystąpienia dziarskich chłopców, którzy co prawda występują w jednakowych czarnych mundurach, ale ich chód i gesty ułożone w choreograficzne, regularne sekwencje, nie napawają szczególną grozą.

Spore wrażenie robi scenografia Szewców. Warsztaty szewskie ustawione zostały na poboczu ruchliwej autostrady, jakby rzemieślnicy ukryli się w betonowym przejściu pod pasami osłoniętej dźwiękoszczelnymi ekranami ekspresówki. Zepchnięci na pobocze jakieś A-jedynki, dostępują rewolucyjnego przeobrażenia w ultranowoczesną, wyzwoloną klasę, co to „nowe życie tworzy”. Ubrani na kolorowo i współcześnie zabawiają się w brzdąkanie na gitarach, by ostatecznie zagrać tani utwór disco polo. Na środku znajduje się ogromny złoty but, który w międzyczasie narodził się na scenie w miejsce betonowej elewacji autostrady. But gra jednocześnie rolę wygodnej kanapy dla klasy próżniaczej, w którą na moment przedzierzgnęli się szewcy, jak i podwyższenia, na którym rezyduje roznegliżowana Irina zaopatrzona niczym elf w przezroczyste skrzydła. Monumentalność tej scenografii momentami przytłacza nieco mało wyrazistych aktorów i wchłania w siebie grane przez nich postaci. Wszystko jest tu zaskakująco zwiewne, delikatne i eteryczne, jakby Witkacy sam był elfem z krainy muminków, a nie poważnym politycznym wizjonerem.

Ostatecznie w tym widowiskowym i teatralnie dopracowanym przedstawieniu wygrywa sam Witkacy z jego niesłychanie bebeczowo-metafizycznym słowotwórstwem, które gryzie widza po uszach i uderza prawdziwością karkołomnych słowotworów. Do tego w głowie pozostaje, jak smutne memento, pytanie jednego z czeladników: „Czy to tylko nie złudzenie, że my naprawdę nowe życie stworzymy? Może się tak łudzimy, aby ten komfort właśnie usprawiedliwić. A może rządzą nami siły, których istoty nie znamy? I jesteśmy w ich rękach marionetkami tylko.” To postaram się zapamiętać i chociażby z tego powodu, warto było zajrzeć do Nowego.